



STANISŁAW PIEGAT

Wawer, 6 listopada 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter przesłuchiwał niżej wymienionego w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o znaczeniu przysięgi, sędzia odebrał od niego przysięgę na zasadzie art. 109 kpk.

Świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Stanisław Piegat
Wiek	ur. 26 września 1891 r.
Imiona rodziców	Stefan i Maria
Miejsce zamieszkania	Nowy Wawer, ul. Widoczna 30
Zajęcie	właściciel zakładu fryzjerskiego
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karałość	niekarany

W dniu 26 grudnia 1939 roku około godziny 19.00 do kawiarni Bartoszka znajdującej się przy tej samej ulicy co mój zakład (na rogu ul. Rubinowej i Widocznej) weszli: polski policjant Rozwadowski (z posterunku policji w Wawrze) wraz z dwoma żołnierzami niemieckimi, celem wylegitymowania i zatrzymania chwilowo przebywających w tej kawiarni dwóch znanych w okolicy naszej bandytów Dąbka (zamieszkałego we wsi Zastów, gm. Wawer) oraz Prasudy. Żołnierze niemieccy po wejściu z Rozwadowskim do kawiarni zażądali od Dąbka i Prasudy okazania dokumentów. Ci zaś wyciągnęli zamiast dokumentów broń i oddali kilka strzałów do tych żołnierzy. Jeden został zabity na miejscu, drugi ciężko ranny i wkrótce także zmarł. Rozwadowski – gdy bandyci zaczęli strzelać – wyskoczył z kawiarni i ukrył się za domem. Dąbek i Prasuda uciekli.

Opowiadał mi o tym właśnie Rozwadowski (imienia jego nie znam), którego znam osobiście. Rozwadowski mówił, że Dąbek i Prasuda mieli tego dnia, czy jednego z poprzednich, dokonać w Otwocku czy w Świdrze zabójstwa polskiego policjanta, w sprawie tej

prowadzone było dochodzenie i bandytów tych ścigano. W związku z tym, gdy policja otrzymała informacje, że Dąbek i Prasula przybyli do Wawra i przebywają w kawiarni Bartoszką, władze niemieckie skierowały tam żołnierzy celem zatrzymania bandytów.

Około godziny 19.30 – 20.00 tego dnia zaczęli Niemcy zatrzymywać na ulicy przechodniów, o czym wiem, gdyż słyszałem przez drzwi (sam na ulicę nie wychodziłem), jak na ulicy jakaś kobieta z dzieckiem prosiła, aby nie zatrzymywano jej męża. O godzinie 23 weszli do mego mieszkania żołnierze niemieccy, zrobili u mnie w domu (mieszkanie mam przy zakładzie moim fryzjerskim) i w zakładzie poszukiwanie broni. Broni nie znaleźli i wyszli. Położyłem się spać.

Około godziny 1.30 Niemcy zaczęli dobijać się do mego mieszkania. Gdy otworzyłem, to chcieli, abym od razu z nimi wyszedł, aczkolwiek byłem tylko w bieliźnie. Udało mi się jednak cofnąć do pokoju, gdzie na żądanie zgasilem lampę. Zrobili ponownie u mnie rewizję szczegółową, lecz nic nie znaleźli. Następnie kazali oni ubrać się mężczyznom (u mnie wtedy mieszkał mój współpracownik Michał Wieszczyk oraz znajdował się sąsiad Barzyczak, imienia już nie pamiętam, zmarł na wiosnę 1945), wyjść na podwórze, gdzie musieliśmy stać pod eskortą. Niemcy następnie sprowadzili innych mężczyzn z mieszkania położonego na piętrze naszego domu i wszystkich razem przeprowadzili do stacji kolei wąskotorowej Wawer, gdzie ustawiono nas pod murem. Tam doprowadzali jeszcze innych mężczyzn, po pewnym czasie wszystkich zatrzymanych wyprowadzili do tunelu, gdzie znów ustawili nas pod ścianą.

Po pewnym czasie wyprowadzono nas stamtąd i wprowadzono w ulicę II Poprzeczną w Aninie, gdzie staliśmy na ulicy obok komendantury niemieckiej garnizonu anińskiego. Mieściła się ona w domu numer 3 przy II Poprzecznej w Aninie. Stała tam grupa Polaków, może ze 200 osób. Byliśmy pod strażą żołnierzy niemieckich. Był wtedy mróz, ze 20 stopni. Z tej grupy zabierano po trzy osoby i wprowadzano do komendantury. Ja znajdowałem się w ostatniej trójce, tak że stałem bardzo długo.

Nie umiem określić, ile czasu upłynęło, zanim wprowadzono mnie do komendantury. Gdy wprowadzono mnie wraz z dwoma innymi, zobaczyłem w pokoju kilkunastu oficerów, podoficerów i żołnierzy. Część z nich siedziała, część stała. Byli wśród nich oficerowie komendantury oraz gestapowcy. Był tam również komendant garnizonu w Aninie, jak

mówiono mi, nazwisko jego brzmiało Stephan czy Stephen. Badał mnie gestapowiec, który bardzo dobrze mówił po polsku. Zapytano mnie, ile mam lat, oraz jakimi językami władam, jakiego jestem wyznania, o imię i nazwisko. Więcej o nic mnie nie pytali.

Przypomniałem, że zapytano mnie także, czy jestem Polakiem. Na co odpowiedziałem twierdząco. Więcej o nic mnie nie pytali, kazali mi wyjść.

Nadmieniam, że do komendantury wchodziło się po kilku stopniach na ganek. Otóż, gdy się wchodziło do komendantury, to żołnierze ustawieni po obu stronach przejścia na ganek i na schodach nie ruszali wchodzących, natomiast każdego Polaka wychodzącego z komendantury bili pałkami, pięściami i kopali. Widziałem te ścieżki, jeszcze zanim wszedłem do komendantury, toteż, gdy mi kazano wyjść, byłem przygotowany już na to, że ja też będę bity i wobec tego starałem się możliwie szybko przedostać się przez ten szpaler żołnierzy na podwórko. Jednakże jakiś żołnierz zdążył uderzyć mnie pięścią w zęby, tak że rozciął mi wargę. Na stopniach ganku był śnieg, tak że ześlizgnąłem się z tych stopni.

Przyłączyłem się na podwórzu do grupy stojących ludzi. Tam jednak jeszcze dostałem od jakiegoś żołnierza pałką przez plecy, bo on uważał, że nie tak stanąłem jak trzeba. Stałem w tej grupie, było tam przeszło 100 ludzi. Czekałem z nimi około godziny. Nie widziałem tam restauratora Bartoszka. W ciągu tej godziny pilnujący nas żołnierze wielokrotnie zaczynali do nas celować, tak że sądziliśmy, że będą nas już rozstrzeliwać.

Mniej więcej po godzinie takiego oczekiwania z komendantury wyszedł, jak mówili mi – „major” i z nim podoficer (widziałem to, bo przez okno padało światło) i wtedy początkowo oficer powiedział coś po niemiecku, czego nie zrozumiałem, bo tego języka nie znam, następnie zaś podoficer powiedział po polsku, że „za zabicie dwóch żołnierzy niemieckich, jesteście wszyscy skazani na śmierć”. Wówczas z tego tłumu, w którym stałem, rozległy się głosy z prośbą o zmianę wyroku, bo jesteśmy niewinni, mamy żony i dzieci. Oficer na to nic nie odpowiedział i powrócił do komendantury. Bezpośrednio po tym odliczono z naszej grupy 10 osób. Znajdowałem się w pierwszej dziesiątce razem z Wieszczykiem. Otoczyli nas żołnierze, wyprowadzili na II Poprzeczną i przez lasek wprowadzili nas na róg Widocznej i Rubinowej, gdzie zatrzymano nas, oświetlając reflektorem samochodu kawiarnię Bartoszka. Zauważyłem wtedy, że w drzwiach kawiarni wisi Bartoszek powieszony na drucie antenowym. Po pięciu minutach poprowadzili nas do placu niezabudowanego, tego na

którym obecnie jest krzyż. Tam ustawiono nas szeregiem, kazano zdjąć kapelusze i uklęknąć. Wieszczyk stał obok mnie. Pożegnaliśmy się z nim i zaczęliśmy odmawiać modlitwy. Na dworze było wówczas ciemno. Oświetlano nas latarnią z samochodu.

Gdy w pewnym momencie posłyszałem strzały z karabinu maszynowego i zobaczyłem, że mój sąsiad Wieszczyk pada naprzód, upadłem i ja twarzą na ziemię. Posłyszałem z obu stron rżenie. Po chwili zorientowałem się – wciągając głębiej powietrze – że nic mnie nie boli. Nie ruszyłem się jednak i leżałem dalej spokojnie. Po chwili posłyszałem pojedyncze strzały. Zorientowałem się, że ktoś idzie i dobija ocalałych rannych. Widziałem kątem oka, jak doszedł do leżącego obok mnie, poświecił latarką i oddał strzał. Ten sąsiad jeszcze w tym momencie rżęził. Ja nawet nie drgnąłem przy tym strzale. Gdy Niemiec zbliżył się do mnie, oświetlił mnie i zaglądał mi w twarz, to ja przestałem oddychać. Oglądał mnie, jak mi się wydawało, bardzo długo, gdyż zaglądał z różnych stron. Potem oddalił się i obejrzał mego sąsiada Wieszczyka. Ten jednak w tym momencie już nie żył. Do niego Niemiec nie strzelał. Wracając od niego Niemiec znowu zbliżył się do mnie, znowu oświetlił mnie i znowu oglądał, czy się nie ruszam. Leżałem jednak nieruchomo.

Nadmieniam, że w tym momencie, kiedy nas wprowadzano na plac, to już była wprowadzana następna dziesiątka i ona także czekała niedaleko od nas. Słyszałem, że następnie strzelano z karabinu maszynowego do nich. I my, i oni klęczeli twarzą zwróceni w kierunku Zastowa. Co kilka minut słyszałem serie karabinu maszynowego, pomiędzy zaś seriami pojedyncze strzały. Tak trwało chyba ze dwie godziny. Leżałem przez ten czas, nie ruszając się. Gdy już przestali strzelać, gdy zastanawiałem się, co mam dalej robić, w pewnym momencie posłyszałem, że zapuszczane są motory samochodów oraz, że jest jakiś ruch: Niemcy chodzą, zwołują się. Później posłyszałem, że samochody odjeżdżają. Gdy zupełnie ucichło, po pewnej chwili ostrożnie wychyliłem głowę i, gdy przekonałem się, że Niemców nie ma w pobliżu, w pewnej chwili uskokczyłem i od razu odwróciłem się w kierunku, w którym poprzednio stał karabin maszynowy. Zobaczyłem, że Niemców na placu nie ma. Zauważyłem tylko w pobliżu sąsiada Polaka Bolesława Lessmana, zam. przy ul. Błękitnej we własnym domu. Jak dowiedziałem się później od niego i od mego sąsiada Feliksa Stryjewskiego (zamieszkałego w tym domu, co ja), Niemcy darowali życie ostatniej dziesiątce z partii skazanych na śmierć, polecając im do godz. 12.00 pochować rozstrzelanych pod groźbą śmierci, o ile tego we wskazanym terminie nie zrobią.

Lessman powiedział mi wtedy „uciekaj pan prędko”, więc chwyciłem swój kapelusz i chyłkiem pobiegłem w stronę mego domu, lecz wszedłem nie do siebie, tylko do sąsiada Majera Dukowskiego (został on później przez Niemców zabrany do getta, tam miał zginąć). Rozgrzałem się u niego herbatą, bo miałem przemrożone palce, gdyż leżałem długo nieruchomo na mrozie. Później udałem się do domu, skąd poszedłem do sołtysa Kazimierza Rawickiego, aby się ukryć u niego. Przenocowałem u niego i następnego dnia o godzinie 12.00 w południe wyjechałem do Warszawy koleją. W Warszawie przez kilka dni czy dwa tygodnie, tego nie pamiętam, mieszkałem u bratowej, po czym wróciłem do domu.

Rozstrzelanych pogrzebano na tym placu. Liczyłem groby. Zdaje mi się, że było ich tam 111, lecz nie jestem pewny, że liczbę tę dokładnie podaję, może się mylę, może w rzeczywistości było nieco mniej. W maju 1940 rozstrzelanych ekshumowano i zwłoki przewieziono częściowo do Warszawy, częściowo zaś pochowano na cmentarzu obok klasztoru w Glinkach. Zdaje mi się, że tam pochowano około 70 rozstrzelanych.

Z tej egzekucji uratował się także szczęśliwie mieszkaniec Marysina Wawerskiego, Wasilewski, który mieszka zdaje się i obecnie w swoim domu tuż koło szlabanu przy przejeździe kolejowym, na rogu Mazurskiej i Sportowej. On został ciężko ranny w czasie rozstrzelania. Nie znam szczegółów, jak mu udało się uratować. Żona jego ma kawiarnię w ich domu. On z żoną nie żyje.

Słyszałem, że również udało się uniknąć śmierci w czasie tego rozstrzelania Gawryszewskiemu (imienia nie znam), mieszkańcowi wsi Zbytki czy też Zastowa.

Zaznaczam, że gdy wróciłem z Warszawy około 10 stycznia 1940 roku do Wawra i znowu zacząłem pracować w swoim zakładzie, to mniej więcej po tygodniu ostrzegli mnie polscy policjanci, że Niemcy szukają tych Polaków, którzy ocalili podczas egzekucji w dniu 27 grudnia 1939. Wówczas znowu uciekłem do Warszawy, gdzie ukrywałem się przez dwa miesiące. Potem wróciłem do domu, gdy się dowiedziałem, że ten pluton egzekucyjny żandarmerii czy gestapowców wyjechał z Wawra.

Protokół odczytano.

Protokół oględzin

Warszawa, 6 listopada 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter przybył do osiedla Wawer Nowy, gdzie w obecności świadka Stanisława Piegata dokonał oględzin terenu, na którym odbyła się egzekucja Polaków 27 grudnia 1939 r. Dom, w którym mieściła się kawiarnia Bartosza oraz miejsce (nad wejściem do kawiarni), gdzie został powieszony przez Niemców 27 grudnia 1939 Bartoszek, jak również miejsce straceń zostały wskazane sędziemu przez świadka Piegata. Został sporządzony szkic sytuacyjny terenu oględzin, który stanowi załącznik do niniejszego protokołu.

„K.P” – krzyż-pomnik, został ufundowany w roku 1945 przez Wojsko Polskie, o czym świadczy napis na krzyżu.

W momencie dokonywania oględzin żadnych parkanów (w pobliżu miejsca straceń), tych, które były w roku 1939 w momencie egzekucji, nie stwierdzono. Według informacji świadka Piegata zostały one usunięte po roku 1939.

[szkic sytuacyjny]